

nim. Chodź, proszę cię, bo muszę ci kilka słów powiedzieć...

— Ależ, to okropne! — załamała ręce doktorowa, wysłuchawszy opowiadania męża.

Na jej drobnej, okrągłej, przywidłej twarzy ukazał się wyraz przerażenia.

— Taka młoda!... Ileż ma lat?

— Skądże wiedzieć mogę? Nie widziałem przecież jej metryki.

— Ośmnaście chyba... no, dziewiętnaście to już najwyżej!... I coś takiego!... Na dwa tygodnie przed ślubem, powiadasz?! Ależ to skandal niesłychany! Szaleństwo nie do wybaczenia!... I ktoby przypuścił! Taką potulną, niewinną ma minę...

— Nie sądzmy jej zbyt surowo! Ze czyn to był szalony i kompromitujący, nie przeczę, ale nie znamy warunków jej życia i wychowania. Jedno ją przysięgam tłumaczyć: miłość dla Zarnickiego... Ona nie o sobie, ale o nim myślała...

— Tak! Miłość wiele rzeczy usprawiedliwia... zawsze jednak... Az mnie strach zdejmuję, kiedy sobie pomyślę, że która z moich dziewczynek mogłaby kiedyś zrobić coś podobnego...

— Proszę cię, J. dwisiu, bądź dla niej dobrą!... Zarnicki tak serdecznie o to prosił... Zwiniała, ale przez miłość i brak zastanowienia. To musi być natura żywiołowa, temperament gorący, którego widocznie nikt nie umiał należycie ująć w karby...

No, biedna dziewczyna, miała ona za swoje... Pani Zarnicka nie przyjęła ją cukierkami...

— Jak, jak? Co było? — pytała doktorowa, a oczy jej ciekawością rozbiły się.

— Co jej tam mówiła, tego nie wiem, w każdym razie odgadnąć łatwo, że rzeczy więcej niż nieprzyjemne... Nadszedłem właśnie wtedy, kiedy ją zupełnie niedwuznacznie wyrzucała za drzwi... Powiadam ci, wyglądało to biedactwo wtedy, że litość brała... Gdyby nie moja energiczna interwencja, nie byłaby jej Zarnicka pozwołała widzieć się ze swoim synem.

— No, wiesz, trudno się dziwić marce... Związka wobec tych projektów z Masłowską... Toż on podobno jest z panną Masłowską po słowie. No i cóż teraz będzie? Jak myślisz?

— Bo ja wiem. Zarnicki byłby łajdakiem i skończonym niedołęgą, gdyby teraz uległ matce...

— A czy on tę panią kocha istotnie?

— Sądzę, że tak... Tęsknota za nią przyprawiała go poprostu o rozstrój nerwowy. Jeżeli obecnie przejdzie zacznie zdrowieć, to będzie w znacznej mierze zawdzięczał temu, że panna Maliniewicz kocha go i jest tak bardzo nierozsądną...

— Ale jak ona mogła z taką miłością w sercu wychodzić za innego?.. To nieuczciwie!.. I pocóż się tak spieszyła?.. Taka młoda?..

— Na to nie mogę ci odpowiedzieć, bo sam nie wiem... Najlepiej, wybadaj ją sama tak delikatnie, po kobiecemu... Ta dziewczyna robi na mnie wrażenie bardzo szczerą, nawet zanadto szczerą.

— Zal mi jej... Ona jest miłutka i bardzo, bardzo ładna... Ale my jej przyjąć do siebie nie możemy... — Dlaczego?

— Bo jej ociec słusznie może zrobić nam awanturę... Niepełnoletnia... takie dziecko... Nie możemy jej ukrywać... I ta niewyróżna, fałszywa pozycja... Ona przecież narzeczoną Zarnickiego nie jest i kto wie, czy nią zostanie... Zarnicka, bardzo energiczna i stanowcza, a o panu Konradzie sam mówiłeś, że dobry chłopak, ale rozpieszczony mamin synek.

— Jadwisiu, więc dlatego wypędzisz tę biedną dziewczynę, która najprawdopodobniej nie ma nawet pieniędzy na wynajęcie gdzieś indziej mieszkania. Wyrzucisz ją na ulicę?..

Doktorowa spuściła oczy i zawahała się z odpowiedzią...

— Pomyśl! Wspomniałaś o naszych córkach... Przysłowie niemieckie powiada: „Wer hat Kinder in den Wiegen, der soll lassen die Leute zufrieden“. A gdyby tak kiedyś... Jadwisiu! Ta dziewczyna jest młoda... ładna... niedoświadczona... bez grosza... bez opiek... b-z dachu... Gdzie ona teraz pójdzie?.. Co się z nią stanie?.. Zaręczam ci, że Zarnicka nie zapiekuje się nią... A gdyby tak jakieś nieszczęście... Zapytaj swojego serca o radę...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Włodzimierz Sulima Popiel

Gasnące promienie.

Orski leżał długo bez ruchu, twarzą obrócony do ziemi.

Kiedy ocknął się z omdlenia, podniósł z jękiem głowę, oparł ją o grudej ziemi, i oczy — jakby mgłą zasłane — zaczął wyteżać przed siebie. Opodał dojrzał kilku towarzyszy; jedni z nich byli już martwi, inni poruszali się jeszcze, jęczeli zdławionym głosem i wołali o pomoc.

A w dali huczały działa ponurym basem i warczały karabiny.

U stóp wzgórz, niby śnieżne całuny, wlokły się dymy — jak długie, poszarpane płachty — nad ziemią, na której spełniała się wielka ofiara, na cześć strasznego Boga wojny... W powietrzu czuć było zapach krwi, a słońce, patrzące przez mgliste welony — jakby przez istry — chowało daleko za lasami swoją czerwoną, gorejącą głowę.

Orski patrzył i myśli, rozpierzchnięte w głowie, poczęły się zwolna skupiać.

Przypominał sobie teraz dobrze, jak z falą całą, z bagnietem w ręku, szedł zdobywać nieprzyjacielskie okopy, jak szedł z towarzyszami na pewną śmierć, wśród gradu kul, który coraz bardziej przegradzał atakujących. Z oczu bił im żar, jakiś dziki obłęd. Żaden nie myślał o tem, że za moment może zważyć się trupem na ziemię, a towarzysze stratuja go nogami, że może już ostatni raz to ukochane słońce świeci mu dzisiaj nad głową, że nie ujrzy więcej swoich rodzinnych, ukochanych stron...

Wszyscy wyteżali tylko wzrok przed siebie, w ten szary, podłutny wał, z poza którego wykwiwały białe obłoczki dymów, a który mieli zdobyć za cenę własnej krwi.

Bo rozkaz był: wziąć nieprzyjacielskie okopy...

A ten ich szalony atak, wśród krzyków, tupotu nóg, szczęk broni, huku armat i jęków upadających, wydawał się być jakąś straszną muzyką, wygrywającą poległym ostatnie, żałobne pienia...

W połowie drogi do nieprzyjacielskich okopów, zachwiał się Orski i padł piersiami na ziemię. Ciężką chmurą przewalili się po nim towarzysze i pomknęli naprzód... A on został...

Został, bo zważywszy się na ziemię, jak drzewo

podcięte, uczył w głowie zamęt myśli, duszność wielką i dławienie w gardle. Kilka razy zachłusnął się powietrzem, rękami chciał chwycić się za piersi, ale sił już nie miał.

Wreszcie omdlał...

Jak długo tak leżał, nie wiedział.

Teraz, kiedy się obudził z tej martwoty, poczuł dopiero, że w piersiach ma piekącą ranę, że od skrze-

piej krwi stwardniała mu koszula i przylgnęła do ciała. Z ust sączyła mu się krew, która cienką nitką spływała po brodzie, kroplami spadała i wsiąkała w ziemię...

Podniósł nieco głowę, na ręce się oparł i sycząc z bólu, spojrzał w bok...

O krok zaledwie od siebie dojrzał szarą czapkę z legionowym orzełkiem, a z pod daszka szeroko rozwarłe oczy, tak dobrze znane, jasne, sarmackie oczy najmłodszego z kolegów obozowych.

— Stachu... żyjesz?... — ozwał się Orski do młodszego towarzysza.

— Wnet... skończę... — odpowiedział chłopak chrapliwym, urywanym głosem, jakby dławił go te niewypłakane łzy za ukochanym domem.

Twarz miał białą jak papier, że kropki krwi w niej widać nie było. Pierś falowała mu ciężko, usta chciwie chwytaly powietrze i drgały, jakby w wielkiej, błagalnej modlitwie.

— Stachu... co tobie?... Jak się czujesz?... — ozwał się znowu Orski, widząc towarzysza, pasującego się z życiem.

— Zle... W oczach już się mroczy...

— Jeszcze chwilę... Wnet nasi przyjdą i pomoc dadzą...

— Słabo mi... Nie dotrwam już...

Orski z wielkim wysiłkiem usiadł. Pociennieciało mu w oczach, ale nie poddał się jeszcze własnym bólowi, tylko syknął, zęby zacisnął i zaczął szukać koło siebie. Znalazł manierkę. Nie była całkiem próżna. Przysunął się do Stacha i do ust jego naczynie przytknął.

Chłopak pił chciwie, krztusił się i dławił, a kiedy już manierkę wypróżnił, głęboko odetchnął, zwisła mu głowa i oczy przymknął.

— Nie dobrze mi... — szepnął cicho.

Orskiego dziwny dreszcz przeszedł wzdłuż kręgosłupa. Ledwie, że zdołał utrzymać się siedząco. Omdlewały mu ręce, na których się podpierał, w piersiach paliło ogniem, a przed oczyma migały ciemne plątki — jak czarne pyłki śniegowe. Przemógł się jednak nieco, wysiłł i przysunął bliżej do rannego Stacha. Wziął głowę jego w dłoń i oparł ją na swoich kolanach.

Manierka była jednak już próżna. Ani kropelki, aby otrząść biedaka. Począł mu więc rozcierać skronie i chłodne naczynie przykładać do czoła.

Ale Stach opadał na siłach z każdą chwilą. Zamknął oczy i pograżał się w coraz większym omdleniu. Rana pod samym uchem broczyła silnie krwią, chociaż Orski zatykał ją szmatką, udatą z rękawa koszuli.

— Stachu... słyszysz... słabo ci bardzo?... — pytał troskliwie towarzysza, patrząc mu niespokojnie w twarz, która powoli przybierała kolor wosku.

Chłopak w odpowiedzi podniósł cię kie powieki.

— Odejdę wnet od was... — szepnął cicho.

— Nie mów tak, Stachu... nie mów... — począł go otulać prawie ze łkaniem Orski, czując dreszcz na wspomnienie o śmierci ukochanego druha.

— Będiesz żyć... będziesz!... — pocieszał go dalej — Przyjdą wnet nasi i pomoc nam dadzą...

Spojrzał w stronę okopów. Bitwa wrzała tam jeszcze. Tokowisko strażów karabinowych słabło wprawdzie, ale armaty pomrukiwały ciągle niskim basem, a biały obłok dymów wlokł się nad ziemią, jak potargana płachta.

— S ach... obudź się... Stachu!.. — wołał znowu Orski słabym głosem, czując, że i jemu poczyna się w głowie mąć, a słabe i tak siły opuszczają go zupełnie.

Ale chłopak miał już oczy silnie przymknięte i poruszał spieczonemi wargami, jakby modlił się o śmierć szczęśliwą.

N raz drgnął, podniósł zwolna powieki i spojrzał na Orskiego smutnymi oczyma, świecącymi jak dwie gasnące lampy.

— Ja umrę już... czuję to... — począł ledwie dosłyszalnym głosem — W tornistrze jest kartka, którą pisałem do matki... oddajcie do wysyłki i donieście jej, że padłem... że zginąłem, jak mój dziad od kuli w powstaniu... że...

Głos począł mu się łamać, a z gardła rwały się już tylko jakieś niewyróżne, urywane szept. W zmętniałych oczach pokazały się dwie duże, jasne łzy, które jak perły stoczyły się po policzkach.

— Pocięz mówcie... — szepnął wreszcie z ogromnym wysiłkiem i czkawka poczęła go dławić.

Orski, na pół już przytomny, pochylił się nad umierającym i począł odmawiać słabym głosem:

— Ojciec nasz... któryś jest...

Ale słowa mu się myliły, więc przerywał chwilami, jakby myśli skupiał.

— Bądź wola Twoja... — wyszeptał jeszcze, na moment przewinęły mu się przed oczyma wizje legionowych kolumn, wiele znajomych twarzy, jakieś głębokie, modre oczy, wreszcie stracił wszelką świadomość i osunął się omdlały na umierającego Stacha.

Daleko za lasem, rozciągającym się szeroko, jak skrzydła olbrzymiego ptaka, gasły właśnie ostatnie promienie zachodzącego słońca.

— — — — —

Mrok zapadł.

Umilkły całkiem strzały i spokój wokoło zapanał. Tylko sanitarysze — jak robocze pszczoły — uwijały się po pobojuwiskach, rozbiegali się w rozmaitych kierunkach, pochylali nad rannymi, którym zakładali konieczne opatrunki i zabierali ich na nosze, a tych, którym serca bić już przestały, znosili w jedno miejsce i gotowali im wspólny grób na spoczynek wieczny.

Geste cienie pokładły się na ziemię.

Na niebo wylał się księżyc ogromny, czerwony, cały jakby we krwi skąpany. Ciem wyżej wznosił się ku górze, tem bardziej bladł, jakby z grozy, jaka przejmowała go na widok strasznego pola śmierci.

K O N I E C